

Ja byłem dwa razy w Pustkowie i uciekłem

Z Izraelem Goldbergiem rozmawia Ireneusz Socha

(edytowana transkrypcja z zapisu magnetofonowego dokonanego w kwietniu 1990 r.)

Jak Pan wspomina dębicki handel? Czy może Pan go porównać z tym, co teraz jest?

Handel... Handel był inny. Dzisiaj chcą mieć wielkie sklepy, dużo zarobić. A przed wojną nie było tak. Mieli wielkie sklepy, np. w dużych miastach, ale w takich miastach, jak Dębica, były małe sklepiki. Co tam było? Tego trochę, tamtego trochę, ale przynajmniej, jak Pan wszedł do sklepu, to Pan dostał igłę, czy cokolwiek Pan potrzebował. A dzisiaj takich małych drobnostek to się nie opłaca trzymać, bo się mało na tym zarobi. Dziś handlowcy są przyzwyczajeni zarobić 50% albo więcej. A dawniej człowiek zarabiał grosze. Bo oni dzisiaj mówią: „A co dawniej za grosz kupił!” Za grosz to może nic, ale za pięć groszy przynajmniej kupił bułkę. Ale fakt – wielkich cudów nie było. Pieniądzy ludzie nie mieli wiele. Taki biedniejszy miał pieniądze, jak sobie pożyczył. A jak nie, to czekał na posag. Jak się ożenił, to mógł wziąć dwieście czy pięćset dolarów, lecz wnet mu się rozchodziło, bo musiał zapłacić za mieszkanie lub kwaterę, za czynsz na sklep. I wnet się mu kończyło. A dzisiaj? Dzisiaj to miliony dostają i tak mają mało. Ten handel jest całkiem inny jak dawniej.

A sami sprzedawcy? Czy przedtem lepiej umieli sprzedawać?

Lepiej. Obsługa była całkiem inna. Wchodził Pan do sklepu i od razu padało pytanie: „Czym mogę Panu służyć?” Jak sprzedawca nie miał tego, czego Pan potrzebował u siebie, to leciał do innego sklepu pożyczyć, byleby klienta obsłużyć jak się należy. A teraz przyjdzie Pan do sklepu, stoją dwie panny, trzy panny: „Nie ma”. Jak się jej nie chce iść do magazynu, to powie, że nie ma. Co jej zależy! Rozmawia z koleżanką. Idź Pan z takim handlem! Tym bardziej, że nie wzięli z prawdziwego zdarzenia handlowców.

To są przypadkowi ludzie - to prawda.

Dawniej zdarzało się, że sprzedawcy nawet w sobotę wieczór albo i w niedzielę rano dzwonili do Tarnowa czy gdzie – do tych kupców, od których brali – żeby mieć towar w sklepie na poniedziałek rano. Żeby – jak ktoś przyjdzie – było w sklepie. A dzisiaj? Co komu zależy! Dawniej, proszę Pana, ci sklepowi, to mieli krawców, trzymali ich u siebie, gdy Pan sobie kupował np. spodnie. Gdy coś nie pasowało, to już tam miał krawca i zaraz szedł poprawić co trzeba, żeby klient wyszedł z dobrymi spodniami ze sklepu. A dzisiaj, to co? Co sobie robią z klienta? Kupiec prawdziwy, to klienta obsłuży. Ale tak? A w Rynku ma Pan kupców? Tylko patrzą, żeby wziąć pieniądze. Taki handel. Trzeba długo czekać. W dużych miastach to może są dzisiaj takie prawdziwe sklepy, ale tak, to nie jest handel. Tu jest cygaństwo. Wycygnąć od klienta pieniędzy i już. A w Ameryce, proszę Pana, do siedmiu dni, to można przyjść i wymienić to, co się kupi. Jak jest złe ubranie czy co. Tylko z metką. Żeby było niezniszczone.

Ostatnio dużo się mówi o zwrocie mienia prawowitym właścicielom. Okazuje się, że w takich miasteczkach, jak Dębica – a nawet w dużych miastach - bardzo dużo nieruchomości posiadali Żydzi. Wynikają w związku z tym różne spory. I Pan pewno słyszy, jak ludzie szemrają, że Żydzi wracają po swoje. Teraz się mówi, że miasto wyremontowało i utrzymuje żydowskie budynki, a Żydzi przyjeżdżają na gotowe. Jaka jest Pana opinia na ten temat?

W rynku, proszę Pana, to chyba wszystkie domy były żydowskie. Tylko wie Pan jak to jest, jak się raz objęło taki dom i tyle lat się w nim gospodarzyło, to wyjść się już nie chce. Zapłacić za niego? Też nie. Są uczciwi ludzie, lecz teraz bardzo wielu stara się o żydowskie mienie. I jak nie trzeba płacić, to już jest dobrze. Bo jak by trzeba było zapłacić, to już by się tak nie szarpali o to. Nie jestem pewien, jak Urząd Miasta zarządzi z tymi domami? Tak prędko to oni przecież nie dają. Sprawdzają „co” i „jak”. Panie, ja miałem kawałek pola, kupiłem, to chcieli żebym przyszedł. Do Urzędu Ziemskiego – tak się nazywał. I ten Urząd Ziemski miał w tym wszystkim dużo do gadania. Był taki komisarz i on tego doglądał. Był u nas co dzień i się dopytywał. Bo patrzył, żeby mu już dać do ręki, żeby to oddać. Brat mój wtedy jeszcze tu był i matka żyła. Więc mówię: „Panie komisarzu, ja Panu z tego nie dam ani 5 groszy, żeby Pan wiedział. Bo to jest moje własne. Matka i brat żyją, i to jest nasza własność. A jak Panu to nie wystarczy, to ja pójdę i wiem, gdzie to można załatwić.” On na to: „A przyjdź Pan w poniedziałek, Panie Goldberg, to coś wymyślimy.” Przeszedłem w poniedziałek...

I co, dało się załatwić?

To od drzwi mówię: „Panie, ja Panu nie dam z tego ani 5 groszy!”

Dlatego, że Pan posiadał znajomość prawa.

A wiedziałem, proszę Pana, bo jeszcze wtenczas, to można było odzyskać swoje mienie. Nikt nie objął, bo ja miałem...

Nie było ustaw.

Miałem trochę mienia. Dałem jednego chłopu, żeby pilnował, no i to trzymał. „Jak ino przyjdziecie, to se weźmiecie.” I później nam oddał. Ale po wojnie inny chłop mu doradzał: „Nie daj!” Dzisiaj, proszę Pana, nowi użytkownicy, jak mieszkają 20 lat, to już mogą się stać właścicielami...

Tak, przez zasiedzenie.

Na żydowskim! Teraz jest całkiem inne prawo. Trzeba wziąć za darmo, bo pożydowskie. I to jest „w porządku”!

Bez żadnego odszkodowania. Te nieruchomości zostały zawłaszczone.

A przecież Żydzi jednak remontowali te domy. A dzisiaj zrobić remont – to nie pasuje, bo mówią, że Żydzi dokonali remontu... „Żydzi zrobili remont, a ja mam po nich poprawiać?” Panie, Żyd przed wojną, jak miał interes, to pilnował. Cały dzień był przy tym. Żyd, jak otworzył sklep rano o siódmej czy o ósmej, to siedział do ósmej wieczór. Jak pies. Pilnował. A nie miał do pomocy trzech subiektów czy ile. Jak jego nie było, to żona była. Jak żona miała coś, to on ją zastępował.

To tak było. Babcia mi mówiła, bo bywała przed wojną w Zamościu w żydowskich sklepach. Krzątali się przy nich przez cały dzień i noc.

Nawet w nocy, Panie, ile razy do nas ktoś pukał. Rodzice mieli taki sklepik mały. Raz pijak jakiś chciał od nas papierosa. Dało się mu papierosa, na który on zapłaty nawet nie miał,

byleby poszedł. Tak było. A dzisiaj pójdzie się o szóstej czy o siódmej wieczór, to można by było rozbić ścianę w sklepie nawet, i nic.

Ale niech Pan zwróci uwagę, że nikt u nas nie otwiera punktualnie. Jest napisane na drzwiach, że otwierają o 9 rano. Ja przychodzę, pięć, dziesięć, piętnaście po 9 – już muszę wracać – a dopiero ktoś przychodzi i otwiera. W tych wszystkich szczegółach widać inne podejście. Nie takie, jak powinno być. Pan twierdzi, że te wszystkie kamieniczki w rynku są pożydowskie?

W osiemdziesięciu procentach. Było coś polskich, ale niedużo.

Wspominał Pan wcześniej, że ten piekarz, Pan Herszlag, przeżył wojnę gdzieś w Związku Radzieckim i wrócił do Dębicy. Czy były też inne przypadki, aby dawni właściciele nieruchomości w mieście po wojnie wrócili do Dębicy?

Przyjeżdżali, ale zaraz wyjeżdżali. Nie ma ich tutaj. Zresztą Herszlag już zmarł. Już dawno zmarł. Teraz np. jakaś jego krewna z Ameryki chce kupić tę jego piekarnię. Było trochę takich, jak Herszlag, lecz niedużo. Niektórzy sprzedali swoje mienie za Bóg zapłać, aby tylko wyjechać stąd. Nie chcieli tu siedzieć. Ale dużo takich nie było. Teraz to niby wszystko upaństwowione. Do '56 roku, jak kto przyjechał, to mógł odebrać swoje bez problemu. A już później upaństwowili majątek pożydowski. To nie była gospodarka!

A czy Pan może jeszcze nam opowiedzieć o historii synagogi, która stała przy ulicy Wielopolskiej? Opowiadał Pan, że przetrwała wojnę. Co się z nią stało?

Co się stało? Za okupacji Niemcy zrobili z niej magazyn. Bo magazyny były w obu bożnicach. W czasie wojny więc był w niej magazyn. A po wojnie był taki straszny kierownik Urzędu Miasta. Łukasik się nazywał. I to on zarządzał tym budynkiem. Zaraz po wojnie, w soboty, po szabacie wieczór, jeszcze prowadziliśmy ubój rytualny. Biło się po kilka sztuk bydła. Wieczorem w sobotę szło się do rzeźni i biło się na niedzielę, żeby było. Bo dawniej, zaraz po święcie, miejskie sklepy były otwarte w niedzielę. No i jak szedłem na godzinę 24:00 do rzeźni, to już zaczęli... A musi Pan wiedzieć, że te bożnice nie były zniszczone. One były dobrze utrzymane. Dachy były i wszystko. Ale jak wracaliśmy z rzeźni, to już jeden niósł deski, drugi niósł blachę. Już zaczęli to niszczyć i rabować.

To byli Polacy?

Przecież Żydzi nie. I już nieśli materiały z bożnicy. To ja tak podszedłem do jednego i mówię: „Słuchaj no, jakby tu stał stary, podupadły kościół, czy Żyd poszedłby drzeć z niego blachę albo deski? Na pewno nie.” Odłożył co niósł, bo było mu nijak. Ale później, jak rozeszliśmy się do domów, to zabrał i dalej niszczył. I w końcu zdarli ten dach i wszystko. I później ten Łukasik sprzedał chłopu...

Cały budynek?

Cały, tak. I ten chłop wystawił sobie dom na Wielopolskiej.

Na miejscu dawnej bożnicy?

Nie. Zabrał cegły i postawił dom na swoim polu.

Przy pomocy materiałów z bożnicy?

Brakowało mu cegły, to dlaczego miałby sobie trochę nie dodać?

Wziął sobie, co mu było potrzeba.

Tak. Bo mu ten Łukasik sprzedał – jak to się mówi – „za czapkę gruszek”. Fakt, dużo nie wziął – parę złotych.

A jak w ogóle wyglądała ta synagoga na Wielopolskiej? Pan mówi, że była starsza.

Tak. W '37 lub w '36 została odnowiona. Przyjechali malarze, Żydzi z Przemyśla i oni cudownie wymalowali środek! Te rozmaite zwierzęta...

Zodiak?

To wszystko było ozdobione jak się należy. Ale cóż znaczył Żyd? Przyszedł chłop i rozebrał to. Podobno jeden nawet spadł z tych murów. Szkoda, że go nie zabiło. A ja nawet do tego chłopca... ja z tym chłopcem nie rozmawiam.

Czyli on żyje. Pan go spotyka.

Żyje, tak.

A jak wyglądał przed wojną dębicki kirkut, czyli cmentarz żydowski, który obecnie jest tak zdewastowany? Co się z nim działo w czasie wojny i po wojnie?

Przed wojną wyglądał jak się należy. Ale jak Niemcy wkroczyli, to kazali zdjąć te pomniki i ułożyć koło gimnazjum. To był taki parking. Kazali wyłożyć tymi pomnikami taki duży plac, jak ten dom stoi, co mieszkał Jaje. To był żydowski plac. Trzeba było ściągnąć te pomniki z cmentarza. Trzeba się było odzwigać, Panie! To były wielkie pomniki. No i z nich się ułożyło, proszę Pana, ten plac. Kiedy Niemcy poszli, ja miałem znajomych wśród furmanów, doszedłem do jednego i mówię: „Wiesz co, my zapłacimy, żebyście zdjęli te pomniki i ułożyli tam na cmentarzu z powrotem.” Było po froncie, nie było pracy. To byli ludzie, którzy mieli konie, no i zgodziło się ich, i wywieźli te pomniki na cmentarz. Lecz znaleźli się tacy, co im było za mało i jak zobaczyli jakiś pomnik ładniejszy, to musieli wyciągnąć, porzucić... I tak zostawili.

W którym roku powstała ta sterta kamieni? W którym roku został tak zniszczony?

Nagrobki zostały zniszczone w czasie wojny, jak zdjęli te pomniki duże... Potem przez lata niszczały. Jak później Żydzi szukali, to mówili, że są jeszcze gdzieś koło „Sokoła”.

Dzisiejszego Domu Kultury „Śnieżka”.

Tam też jakieś układali. Ja tam nie byłem akurat. Podobno tam też układali z tych pomników jakiś chodnik. Panie, u nas ludzie tacy byli: wszystkiego mieli mało. Który Żyd by poszedł na polski cmentarz, do kościoła, czy gdzie, i dał deski albo co? Poszedłby?

Mnie się wydaje, że nie.

Może Pan być pewny w 150%. Czy ja bym wziął deskę z kościoła? Bez względu na to, czy on zniszczony, czy niezniszczony – to czy będę brał deski albo tam co?

Czy dębicki kirkut był otoczony murem?

Tak. Był duży mur.

Jakiś dom przedpogrzebowy?

Ceremonia, proszę Pana, cała była. Bo u nas się nie trzyma trzy dni nieboszczyka. Tylko, jak umrze, to się zaraz go pochowa. Nawet za dwie godziny. Byli tacy, co się tym zajmowali.

Chewra Kadisza – bractwo pogrzebowe.

Tak. Oni zaraz chowali. Nawet wieczorem. U nas się nie trzymało trzy dni. Tylko w tym samym dniu się chowało.

Czy pan uczestniczył w takim pogrzebie na dębickim kirkucie?

Kiedy akurat byłem w mieście, bo człowiek był przeważnie w terenie. Ale jak zmarł jakiś znajomy, to się szło. Chowali i jak zwykle.

Nieboszczyk był niesiony w białym całunie na marach, prawda?

Tak. U nas, proszę Pana, nie zakładało się nieboszczykowi krawatu. Nie dawało się nic – tylko białą szatę. Nie trzeba było butów ani oficerek. Nie trzeba było nic. I tak chowali, proszę Pana, i już. Ale pamiętam, że na cmentarzu żydowskim była taka kośnica [kostnica – IS]. Tu, jak się wchodzi... Bo teraz mają mało i jeszcze drogi potrzebują.

Założono w tym miejscu działki.

Mają tam ogródki. I nikt się nie przejmuje. Panie, żeby był proces jak się należy, to by to wszystko zdjęli. Nic by tam nie było. Ale w tym miejscu grabarz mieszkał w tej kośnicy.

Czy to był drewniany domek?

Tak.

Na kirkucie miała powstać jakaś baza. Zdaje się, że Przedsiębiorstwa Oczyszczania Miasta?

Oni tam chcieli rozmaite cuda stawiać. Jedni to, drudzy tamto. Raz „Stomil” miał coś stawiać, innym razem WUCH.

No właśnie. Pan walczył z tym. Pisał, chodził.

Chodziłem do Naczelnika Miasta. A on mi mówi: „Może by zrobił taki zieleniec?” Ja mówię: „Ja wiem, Panie Naczelniku? Ja jestem sam. Jak przyjadą przedstawiciele żydowskich władz, to mogą o tym zdecydować. Ale co ja będę decydował?” I dzisiaj, co jest? I w piłkę grają, i niszczą dalej, Panie. Ma Pan tyle ludzi! Mieszkają w tym bloku. Żeby jedna rodzina wyszła do tych chłopaków i upomniała ich: „Co tu macie? Nie ma! Idźcie i grajcie gdzie indziej!”

Niech Pan mi wierzy, że z tymi ludźmi nie da rady dojść do ładu. Pamięta Pan? To było w 1988 roku. Ja wtedy też pisałem do „Gazety Krakowskiej”, pisałem do Urzędu Miasta i osiągnąłem to, że ustawiono dwie tablice ostrzegawcze.

Widziałem te tablice.

Na tych tablicach było napisane: „Pod karą grzywny 20 000 złotych zabrania się wstępu na cmentarz żydowski”. I może Pan wiedzieć, że te tablice stały tylko cztery dni.

Tak, to ja to widziałem.

Cztery dni stały te tablice.

I zdjęli.

Jedna pani poszła do Naczelnika Miasta, którym wówczas był Teodor Miś, i zaczęła się skarżyć, że jej dzieci nie mają się gdzie bawić, a tu jeszcze „jakaś grupa balwanów takie głupie znaki ustawia”. Twierdziła, że cmentarz żydowski, to jest miejsce do zabawy dla jej dzieci, ponieważ innego miejsca nie ma. I proszę sobie wyobrazić, że Naczelnik uległ namowom tej potwornej kobiety i te tablice zdjęto.

Oni zdjęli sami.

Wpierw ustanawiają prawa, a później pozwalają te prawa łamać.

Panie, ja wiem, jak to jest. Widziałem te tablice, bo ja tam dawniej często chodziłem. Ale co mnie to obchodzi, Panie. Będę się bił tam z nimi? To są ludzie? Bo jak by byli ludźmi, to wystarczyłoby, żeby powiedzieli dzieciom: „Nie chodźcie tam!”.

Wytłumaczyliby im.

Ale tak, to co jest? Ona sama będąc matką mówi, że jej dzieci się nie mają gdzie bawić...

Niedawno była tam znowu para takich turystów. Podejrzewam, że z Izraela. To byli starsi państwo. Przyjechali taksówką z Krakowa. Może trzy tygodnie temu. Wie Pan, jak to wyglądało? Gdy przyjechali popołudniu, tam oczywiście bawiły się dzieci. Czytali napisy na nagrobkach, robili zdjęcia, a te dzieci za ich plecami naigrywały się z nich.

A jak u nas może inaczej być!

Ja tych dzieci nie obwiniam, ale to świadczy o ich rodzicach.

Widzi Pan, tylu ludzi tam mieszka. Żeby choć jedna osoba powiedziała: „Chłopaki, idźcie stąd!”

Nikt nie wytłumaczy im, dlaczego jest nieprzyzwoicie bawić się na cmentarzu.

Panie, tak jest. A ludzie się oburzają, jak się mówi o antysemityzmie.

Wspomnienia z okresu wojny są trudne. Zbyt bolesna jest ta pamięć. Lecz czy może nam Pan opowiedzieć, jak Pan ocalał? W jaki sposób uratował się Pan z tej zawieruchy wojennej? Jak to było w Pana przypadku?

Proszę Pana, ja byłem w Pustkowie. Ja byłem dwa razy w Pustkowie i uciekłem.

Najpierw, zdaje się, był Pan w getcie w Dębicy?

Nie. Getto było już, ale ja mało byłem w getcie, bo myśmy jeszcze byli w swoim domu. Ja do pracy chodziłem, bo musiało się chodzić do getta i do pracy. Ale ja przeważnie miałem pracę, to w getcie mało byłem. Tylko później, jak już musiało się iść do Pustkowa do pracy, no to chodziłem. Z początku tak tydzień, dwa człowiek chodził i wypuszczali z powrotem, ale potem zaostrzyli rygor. Nie można było po pracy wrócić do domu. Tylko raz na miesiąc. Ale ja na razie wracałem. Dopiero gdy przywieźli Żydów z Mielca, to zaostrzyli rygor. Już nie puszczali tak do domu. A do Pustkowa przyjeżdżali murarze, bo Niemcy przerabiali tam wszystko. Te garaże.

Rozbudowywali.

Te garaże, to wszystko, przerabiali coś. Ja tam robiłem. Byłem pomocnikiem. Ciesła-murarz. A oni przyjeżdżali przeważnie z soboty na niedzielę. Jeździli do Dębicy. Pociągiem. Oni byli z Brzeska. Ci murarze. Jak oni siadali do auta, to ja raz siadłem z nimi. Zdjąłem opaskę, bo oni nie musieli nosić opasek. Zdjąłem opaskę i wszedłem do autobusu. I przyjechaliśmy. Ale na drugi dzień, nie, w poniedziałek, to ja już nie pojechałem, tylko brat. Mój brat tu jeszcze był i brat pojechał za mnie. To sobie pomyślałem, że może nie zobaczą, że mnie nie ma. Tam zastrzelić człowieka, to nie grało roli dużej. Tam dość wymordowali ludzi. Wielu nawet nie ma napisu, nie ma nic. No i nie pojechałem już do Pustkowa. Później była znowu obława. Niemcy mieli zajęcie z Żydami. Była obława. Łapali do Pustkowa. Ja akurat szedłem.

W Dębicy? Na terenie miasta?

Tak. Ja szedłem do pracy rano, to chwycili. Chwycili mnie i na autobus, i do Pustkowa wszystkich. Tym razem to już było troszku gorzej. Człowiek już wiedział, że jest niedobrze. Że tutaj życia nie będzie. Wszak się wiedziało, że nie ma już nigdzie życia. No i byłem coś, zdaje mi się, dwa tygodnie jeszcze. To jeszcze nas mieli odwozić w sobotę do domu, ale mówili, że już będą robić obóz, że już nie będą.

Czyli na początku był to obóz pracy, a później zamieniał się w obóz zagłady.

Tak. Kiedy wracałem z tymi ludźmi z łapanki do Dębicy, to rodzice wyszli i pytali: „Co słychać? Jak tam jest?” „No – mówię – na razie jest dobrze. Jak tam dalej będzie, to nie wiadomo.” A w poniedziałek, kiedyśmy pojechali, już się tam zaczęło robić ostrzej i wiadomo było, że już nie ma po co jechać. Ale pojechałem. Pojechałem, proszę Pana, i powiedzieli, że już będzie obóz. Że już nie będą puszczać do domu. I potrzebowali czterech pracowników odwieźć mąkę tu do piekarni. Bo Niemcy piekli chleb w piekarni w Dębicy. Miało się zgłosić czterech ludzi. Ja się zgłosiłem, jeszcze trzech, no i przywieźliśmy tę mąkę do piekarni. Zaczęliśmy rozładowywać. Każdy musiał wziąć worek mąki. Widziałem, że są cztery worki, to wziąłem pierwszy, ale już nie wróciłem. Skryłem się na tyłach piekarni i uciekłem stamtąd. Co się z tymi trzema stało? Pewnie ich wzięli do tego Pustkowa i zabili. A ja przedarłem się obok szkoły i więcej nie wróciłem do Pustkowa.

Po ucieczce z obozu ukrywał się Pan w Dębicy?

Nie. Chodziłem, szukałem wśród znajomych kryjówki. Trudno było coś znaleźć. Był jeden znajomy. Uciekłem z matką. To znaczy najpierw uciekłem sam. Poszedłem w jedno miejsce. Próbowałem się za wszelką cenę wydostać stąd, bo w Dębicy było już getto. Łaziłem prawie dwie noce. To było w '42 roku, w listopadzie. Mróz był taki, że szkoda było psa wygnać. W końcu znalazłem jakieś miejsce u jednego chłopca. Pytam go o kryjówkę, ale on się bał, bo miał małe dzieci. To ja mówię: „Nie dla mnie, tylko dla matki chcę”. Bo matki jeszcze tam nie sprowadziłem. Ona była wtedy jeszcze w naszym starym domu, gdzie mieliśmy również stajnię.

A może Pan określić, w której części Dębicy mieliście Państwo dom?

Na Wielopolskiej. Tam mieszkaliśmy. No i, proszę Pana, jak już znalazłem miejsce u tego chłopca, to ten chłopca umarł. Mówię matce, że umarł i trzeba iść, a ona nie chce iść, chce zostać. Bo może trzeba będzie uciekać i nie będzie wiedziała, gdzie. „To zostań i ty”. No to zostałem. Żył się ot tak. To było marne życie, ale jednak. Ile? 27 miesięcy? Leżeliśmy w tej dziurze. Musieliśmy zrobić dziurę, bo najpierw on nas trzymał w stajni.

Ten chłop?

Tak, ten gospodarz. Ale od razu powiedziałem: „Nie, w stajni, to nie ma co. Niemcy często przechodzą przez wieś i jak będą chodzić i sprawdzać, czy nie ma bydła, czy krowa kolczykowana, to Tomaszu – mówię – to nie ma sensu.” Chciałem jakąś dziurę. No i poszliśmy zrobić taką dziurę w lesie. Tam siedzieliśmy 26 lub 24 miesiące – nie pamiętam. No i on tam od czasu do czasu przychodził i przynosił nam coś do jedzenia. Sam był biedny chłop, nie miał nawet bardzo co dać, ale...

Pan mi kiedyś wspominał, że ten chłop pomógł Państwu być może dlatego, że dawniej kupował u Pana matki. Czy tak?

Tak, u matki kupował.

Bo chyba nie miałby Pan co liczyć na pomoc, jeśliby wcześniej nie znał Pana matki?

Jego dziadkowie nas znali. Jak tam przyszliśmy, to ci młodzi gospodarze bardzo się bali. Ale jeszcze żyła taka stara babka i ona mówiła: „Trzeba im pomóc, bo oni nam też pomagali, jak nie mieliśmy za co kupić.” I ta stara mówiła, żeby nas przyjęli. Ale u nich w domu nie byliśmy, bo baliśmy się. Nie chcieliśmy nikogo narażać. Na wszelki wypadek poszliśmy więc do lasu i on nam pomógł zrobić tę dziurę. I siedzieliśmy w niej, aż wkroczyli Ruski. Siedzieliśmy w lesie, ale strzały padały, bo Niemcy byli niedaleko, w Kamienicy. Niemcy strzelali do Ruskich, a Ruski do Niemców. To tak mówię do matki: „Co tu będziemy leżeć? Jakiś pocisk nas zabije, to przyjdą dziki i rozedrą nas.” No to wyszliśmy z tej dziury. Wyszliśmy z lasu, ale nic nie było widać, tylko ziemniaki tam rosły. Duże już były badyle. A pociski padały. No to mówię do matki: „Położymy się w bruzdach. Ziemniaki są dość wysokie i nikt się nie domyśli.” To ją wystraszyłem całkiem. No ale pociski padały, padały. Mówię: „Też niedobrze.” Na polu była tylko kupa gałęzi. Człowiek szukał i nie mógł znaleźć żadnej ochrony. Leżała kupa gałęzi, ale były suche, takie przezroczyście. Widać było przez nie już z daleka. A mamusia miała taki czerwony sweter. Jak Ruski ruszyli i podeszli bliżej, to zaraz obstawili działa przeciw Niemcom. Były bardzo blisko. Jak zaczęli bić, to ziemia się ugięła jak guma. Pomyślałem sobie w duchu: „Nie chcieliśmy w lesie siedzieć, to się tu

skończymy.” No ale mamusia miała taki czerwony sweter, no i gdy Ruski już byli, chodzili, to jeden tak popatrzył i zaraz powiedział po rosyjsku: „Coś tam jest!”. Bo widział, bo ten sweter tak się odznaczał. „Coś tu jest!”. Jak coś jest, to zaraz zdjęli karabiny, no i obstąpili nas, obstąpili te gałęzie, by czasem nikt bokiem nie wyskoczył. Ja widziałem, jak oni nas obstępują, więc podniosłem rękę i krzyknąłem, że jestem „Jewrzej”. A oni: „U, Jewrzej”. To przyszli, pomogli, wzięli mamusię. „O, to babuszka jest”. To ponieśli i pomogli te gałęzie podnieść. I mamusia wyszła, i później ja wyszedłem. Pytali się, skąd myśmy się tu wzięli. Ja mówiłem: „Siedzimy tak tu w tym lesie ze dwa lata”. „A gdzie chcecie iść?” Ja mówię: „Do Dębicy.” To było w Małej, jakieś 15 kilometrów. Tam oficerowie bez pagonów chodzą. No i tak raz przyszli, obstąpili: „Skąd?” „Z Dębicy.” Patrzą, mają te mapki, to wszystko. „Rzeszów jest, Ropczyce, a w którą stronę wy chcecie iść?” Ja mówię: „W tę stronę, tu, w stronę Dębicy.” To oni mówią: „Słuchaj, wy idźcie w tamtą stronę, skąd myśmy przyjechali, bo tu stoją Niemcy, więc tu nie możecie iść.” To myśmy poszli – co było robić – tam, skąd oni przyjechali. To było w okolicach Niedźwiady. Tam był chłop znajomy. Przechodziliśmy, to jeden gospodarz mnie nie poznał. A później szedł drugi i niby mnie poznał. To się pyta: „Skąd tyś się tu wziął.” „A przyjechałem z Rosji. – zażartowałem – Słuchaj, masz coś do spalenia? Sprzedaj mi. A spanie?” „Spania – mówi – to ci nie dam, bo wojsko zajęło.” Ja mówię: „Ja nie potrzebuje. Szopę masz? Liście są w szopie? No dobrze, jak nie ma liści, to nic nie szkodzi. Już dwa lata nie spałem na łóżku, to dzisiaj na łóżku będę spał? A po co mi?” No to on dał nam szopę na nocleg. Przyniósł nam po garnuszku mleka. Nie chciał pieniędzy. Po kolacji położyliśmy się spać w tej szopie. A rano było dziwnie głucho. Nic nie było słychać. Nikogo. Chłop sam był ciekaw i mówi tak: „A któż wie, czy Niemcy z Dębicy się nie ruszyli? Pewnie poszli z Dębicy, bo cicho jest. Nie słychać strzałów.” A ja mówię: „To ja pójdę w południe. Pójdę do Dębicy. Co tu będę siedział?” I poszliśmy. Szliśmy, proszę Pana, pomału. Doszliśmy prawie pod wieczór. W naszym domu mieszkał taki dentysta. Hoszard się nazywał. Bo ja go poprosiłem, żeby go pilnował. „Panie doktorze, jak przeżyjemy, to dobrze. A jak nie, to siostra jest w Ameryce, brat tu gdzieś jest. Jak przeżyją, no to jakoś tu będziecie siedzieć.” Człowiek nie był pewny. Ale on się zgodził. Jak wróciliśmy z tych gór, to nasz dom jeszcze stał.

Wszelkie prawa zastrzeżone © Ireneusz Socha

Izrael (Józef) Goldberg (ur. 15 stycznia 1909 w Stobiernej – zm. 3 kwietnia 1991 w Tarnowie). Nazwiska rodziców: Mendel Goldberg, Chona (Ewa) Wulweg. Wojnę przeżył, ukrywając się wraz z matką w poddębickich lasach. Po wojnie został w Dębicy. W latach 1952-1981 zatrudniony jako brakarz w dębickim oddziale Rzeszowskiego Przedsiębiorstwa Produkcji Leśnej „Las”, a potem do 1990 r. kontroler odbioru jakościowego dziczyzny w Dziale Produkcji Konserw Zakładów Wytwórczych CZSS „Społem” w Dębicy. Ostatni Żyd dębicki. Zmarł bezpotomnie.